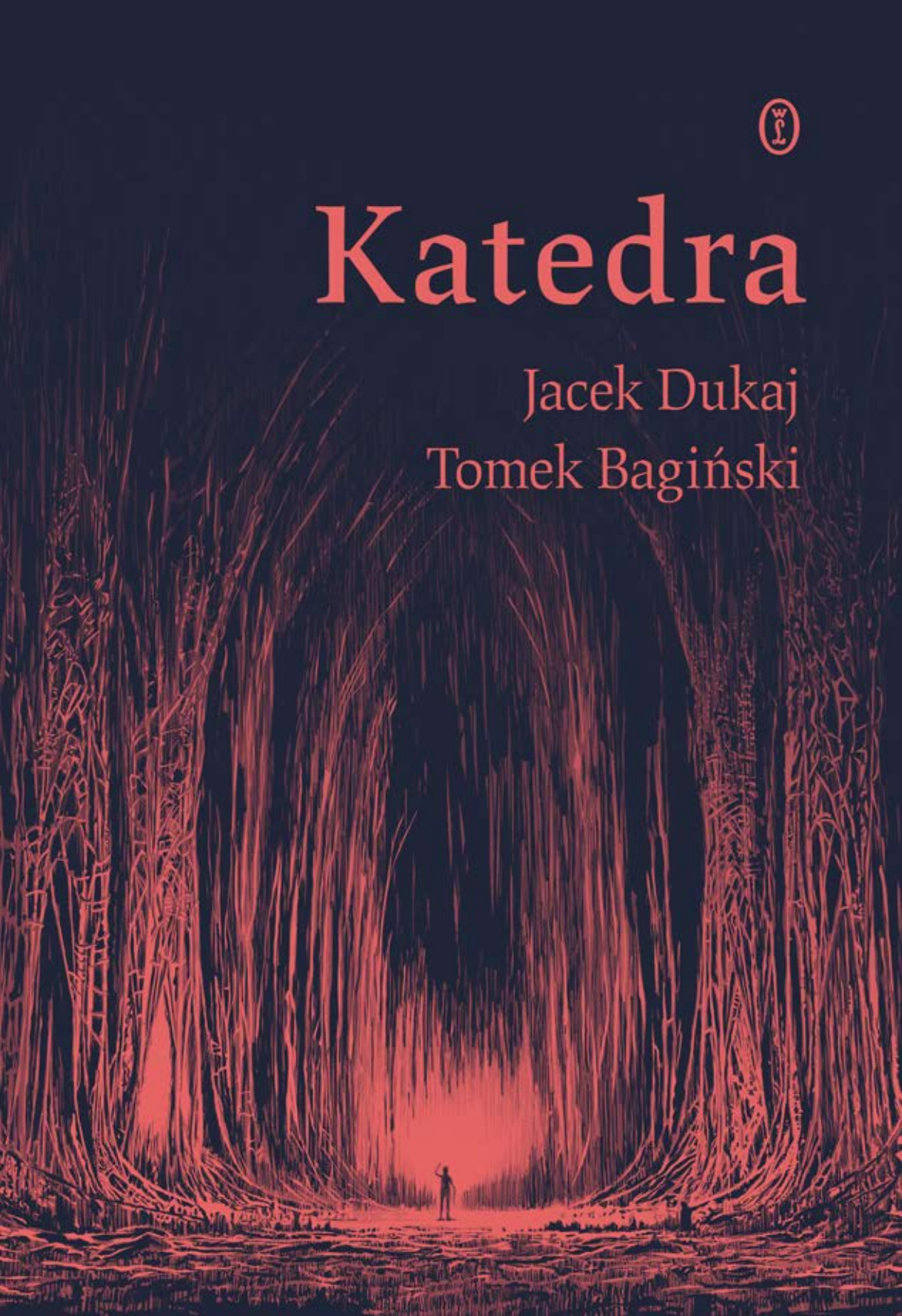




Katedra

Jacek Dukaj
Tomek Bagiński





Kate

Jacek Dukaj
Tomek Bagiński

podra



© Copyright by Jacek Dukaj
Ilustracje © Copyright by Tomasz Bagiński
Preface © Copyright by Jan Maciejewski
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2024

Wydanie pierwsze w tej edycji

Katedra — nominowany do Oscara, oparty na opowiadaniu Jacka Dukaja
film animowany w reżyserii Tomka Bagińskiego został wyprodukowany
przez studio Platige Image w 2002 roku.

Opieka redakcyjna
Anita Kasperek

Korekta
Maria Rola, Krystyna Zaleska, Anna Poinc-Chrabąszcz

Opracowanie graficzne oraz skład
Wojtek Janikowski

Redakcja techniczna
Robert Gębuś

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie sp. z o.o., 2024
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
tel.: (+48-12) 619 27 70

Książkę wydrukowano na papierze Munken Print White 90 g, vol. 1,8

Druk i oprawa
Drukarnia Zapolex

ISBN 978-83-08-08494-6
ISBN 978-83-08-08528-8

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Izmiraidy na wyciągnięcie ręki, siedemdziesiąt dni od perilevium, burza za sto dwanaście godzin. „Rozmaryn” już prawie zrównał wektor prędkości z ich wektorem, widać Katedrę, mam ją na suficie, obraz czasu rzeczywistego. Zamykam i otwieram oczy, i spada na mnie drapieżnym ptakiem, chuda szyja, rozłożone szeroko skrzydła wież, kościste szpony, szkielet korpusu.

Zażyłem podwójną dawkę stupaka, głowa mi pęka w nieważkości. Próbowałem czytać Fereta, ale gubiłem wątek po kilku zdaniach. Kurtuazyjne rozmowy z Mirtonem. To czarter i lecę nim tylko ja i doktor Wasojfemgus, który praktycznie nie wychodzi z zaślepu; więc lecę sam. Dialoguję z „Rozmarynem”, gdy tak snuję się po jego wnętrzu, sztuczny dzień, sztuczna noc. Ma bardzo sympatyczny interfejs. Czasami podczas ćwiczeń w siłowni, otumaniony dokrewnymi wydzielinami, omal zapominam, że to tylko program. Ma swoje priorytety. Pilnuje, bym nie czuł się samotny, i wciąga mnie w rozmowy na tematy, o których myśli, że mnie interesują.

— Więc sądzi ksiądz, że to nie był święty i żadne cuda nie miały miejsca? — pyta znienacka.

— Nie mam wyrobionego zdania — odpowiadam.

— Och, na pewno ksiądz ma — śmieje się „Rozmaryn”.

— A co ty sądzisz? — odbijam piłeczkę.

„Rozmaryn” chwilą milczenia daje do zrozumienia, że się namyśla.

— Sądzę — zaczyna — że jeśli był w owej chwili niepoczytalny, było to szaleństwo z łaski. Gdyby Bóg pozwalał sobie w ogóle na bezpośrednie ingerencje, to Izmir stanowiłby nie najgorszy pretekst.

— Więc wierzysz?

— W Boga? Czy wierzę? Raczej... domyślam się —
rzecze „Rozmaryn”.

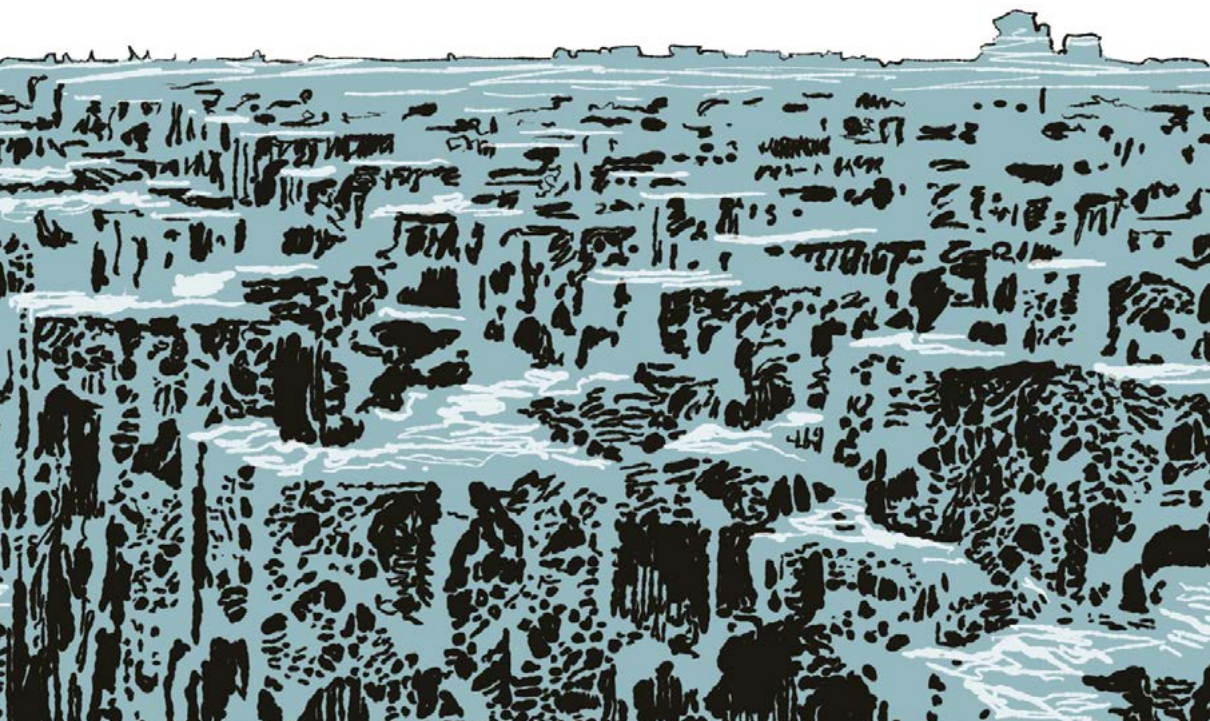
Kto wie, może i w tym wypadku Turing się mylił.

Sprawdzam aktualne dane na temat rendez-vous
planetoid z Madeleine. Wciąż nic pewnego. Na łakach kom-
putacyjnych Centrum Astronomicznego w Lizonne żywo-
kryst tych równań rozrósł się na blisko hektar, a mimo to
nie ma stuprocentowo pewnego wyniku. W najgorszym
wypadku mam miesiąc. Czy Kościół rzeczywiście byłoby
stać na przesunięcie tak dużej planetoidy? Czy owa fan-
tasmagoryczna Maszyna Hoana w ogóle pozwoliłaby na
podobne przesunięcie?



Jestem. Pierwszy dzień na Izmiraidach. Widziałem grób, rozmawiałem z księdzem Mirtonem. Burza tymczasem wygotowała się po drugiej stronie. Wiedzieli, gdzie posadzić „Sagittarius”. (No nie, co to ma wspólnego, wszystko zależy od pory dnia, momentu obrotowego kamienia; chyba że Wektor Hoana...)

Katedra stoi poza biostazą miasta, jest za wysoko, przebiłaby kopułę. Wahadłowiec „Rozmaryna” wysadził nas po drugiej stronie, samo miasto (miasto! — za dużo



powiedziane: raczej przykryte półkulą powietrza skupisko tymczasowych kwater) leży w płytkim kraterze i jego zbocza zagroziły nam widok czarną skarpą. Ta Izmiraida nazywa się Róg, jest druga pod względem wielkości w całym skupisku, ale i tak ciążenie praktycznie tu nie istnieje. Od razu przesiedliśmy się do gruisa. Wasojfemgus pomógł mi ze skafandrem, te samowystarczalne próżniówki to prawdziwe zbroje, człowiek myśli pół minuty, zanim ruszy nogą.

Gruis na trasie od lądowiska do kopuły jeździ wzdłuż oświetlonej jaskrawo trakcji, przymocowany jest do niej za pomocą dwóch elastycznych pałaków, wygląda to prawie jak kolejka linowa.

Kiedy jechaliśmy, doktor wskazał na prawo i powiedział:

— Wrak.

Zorientowałem się, że ma na myśli holownik Izmira. Spojrzałem w tamtym kierunku, lecz niczego nie dostrzegłem.

— Już za horyzontem — rzekł Wasojfemgus. — Jest linia także do niego. Ksiądz na pielgrzymce?

— Nie — odparłem i spróbowałem zażartować: — Służbowo.

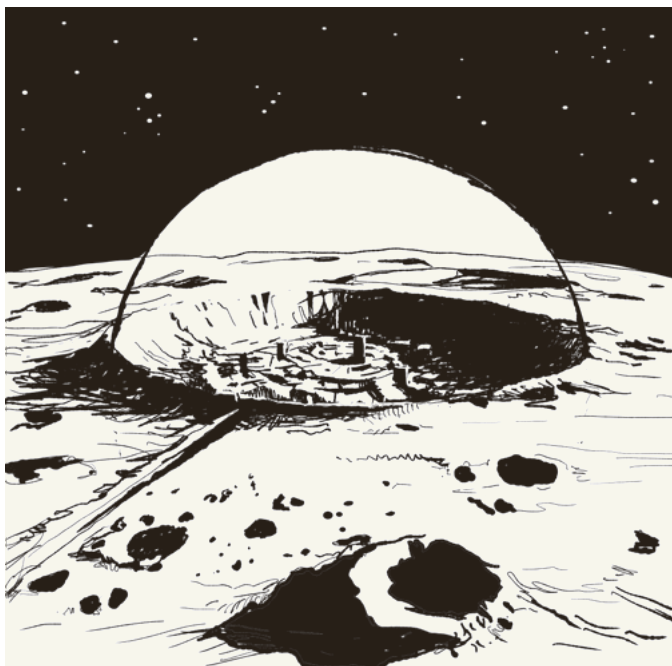
Nie bardzo widziałem przez plastik hełmu jego twarz, ale chyba się nie uśmiechnął.

— Ja właściwie tylko na chwilę... — mruknął. — Skorzystałem z okazji, że ludzie zamawiają czartery do ewakuacji. Myśli ksiądz, że Madeleine nas puści?

Chciałem wzruszyć ramionami, ale niewiele z tego wyszło.

— Nie wiem. Liczą jeszcze.

— Taa.



Niebo nie jest tu niebem, lecz po prostu rozpiętym na wysokiej półsfery kosmosem. Gorzej: momentalnie traci tę iluzję dwuwymiarowości, wystarczy się zapatrzyć przez parę sekund i już przytłacza cię potworna otchłań. Umysł natychmiast przestawia się na obrazowanie przestrzenne i nie masz najmniejszych wątpliwości, żeś jeno pyłkiem drobnym w tym oceanie, mrówką na kamyku. Można wpaść w panikę. Ci, co pierwszy raz wychodzą w otwarty kosmos, czują niemal fizycznie, jak ich zmysły tracą wszelkie punkty orientacji; zaczyna się upadek, spadają w nieskończoną pustkę. Były przypadki utraty przytomności, były wymioty i szlochy, był nawet obłąd. Na planetoidzie to nie grozi, mimo wszystko jest tu jakiś horyzont, jest grunt pod stopami, domyślna płaszczyzna „dołu”. Ale gdy uniesiesz głowę i stracisz je z oczu... Mój Boże. Nie do opisanania.

Wjechaliśmy na krawędź krateru. Śluza kopuły już otwierała się przed maską gruisa. Sama kopuła z zewnątrz prezentowała się jako mlecznobiała półsfera, nic właściwie nie było przez nią widać. Wjechaliśmy do śluzy i zaraz wyjechaliśmy, drzwi zamknęły się i otworzyły tak szybko, że nawet tego nie zauważyłem; spojrzałem w górę — i znowu spadły na mnie gwiazdy: od wewnątrz kopuła jest bowiem całkowicie przezroczysta.

Pomimo tej polerowanej gładko czerni bezcieniowe światło zalewa jej wnętrze.

Budynki stoją w czterech koncentrycznych kręgach, w środku najstarsze; większość dwu-, trzypiętrowych. Krąg czwarty, zewnętrzny, według doktora jest niemal w całości opuszczony.

Gruis uwolnił się od trakcji i Wasojfemgus przeszedł na ręczne. Lewą ręką wskazywał mijane żywokrystne ściany i perorował (już nie przez interkom, zdjęliśmy bowiem hełmy):

— To Matabozzy. Zaczęli uciekać, gdy tylko okazało się, że podejdziemy pod Madeleine. Oni to pierwsi liczyli. Procesują się właśnie o te działki na szczeniakach Lizonne, dwa tysiące hektarów gęstego lasu analitycznego, niech się Centrum schowa. W szczycie, jakieś pięć lat temu, ponoć jedna trzecia tego lasu meła równania grawitacyjne Izmiraidów. W ramach testingu parametrów kontrolnych spięli z Fistaszką siedem ciężkometalicznych meteorów. Było to jeszcze przed krytycznym perilewium, no i teraz mamy Proces Czternastu. Już widzę, jak adwokaci wyjaśniać będą sędziom przysięgłym teorię chaosu. Matabozza najprawdopodobniej pójdzie w bifurkację, nikt im nie dowiedzie, że to nieprawda. Czyli w sumie dwa potężne procesy. Nic dziwnego, że tną budżet. Oni pierwsi.

Natomiast ten arkadowy ciąg po lewej to filia NASA. Teoretycznie ograniczają się do monitoringu. Ha! Za mojej poprzedniej wizyty, jak wypłynęła propozycja rozerwania czarnych żył atomówkami, NASA wyskoczyła z tą ustawą weta. Był zamach na ich mózgowca. Stąd, widzi ksiądz, to zielone, tam mieszka ekipa śledczych UL; w każdym razie mieszkała, chociaż nie wygląda, żeby też się już wynieśli. A tamta ćwiartka to wszystko kwatery gościnne; Honzl to dzierżawi pielgrzymom, podczas szerokich okien ma full. Teraz się modli, żeby Madeleine nas puściła.

— On to dzierżawi, mówi pan. Zna pan status prawny Izmiraidów?

— Aha, prawo łupieżcy, parcelacja wirtualna. Więc te plotki są prawdziwe? Będziecie ratować Róg?

— Proszę pana...

— No tak.

Minęliśmy już centrum, czyli okrągły plac z fontanną w środku (wielkie krople wody spadały po absurdalnie wysokich parabolach). Wasojfemgus skręcił za białościenny budynek o wyszukanej arabskiej architekturze i tu zatrzymał gruisa. Wsiadł, machnął mi ręką i ruszył ku ceniom strzelistych arkad. Patrzyłem, jak szedł. Kola na prawie w ogóle nie pracowały, głównie achilles. Miał facet wprawę. Szybko zniknął w mroku.

Przełączyłem gruisa na auto i podałem mu adres kwater wynajmowanych u Honzla przez diecezję Lizonne. Samochód ruszył. Znowu jechałem przez milczące miasto. Teraz dopiero uświadomiłem sobie przeraźliwą jego bezludność. Przez cały czas, od samej służby, nie zobaczyłem żadnego mieszkańca. Wyglądało, jakby nie tylko czwarty, ale wszystkie kręgi żywokrystnej zabudowy zostały już dawno opuszczone.



Że nie było to prawdą, przekonałem się, wszedłszy do głównego holu hotelu Honzla. W niczym nie przypominał on lizońskich czy ziemskich holi hotelowych (bardziej staromodne stoisko z elektroniką) — w niczym prócz jednego: recepcjonisty. Gdy tylko przekroczyłem próg (prawdę rzekłszy, przeszybowiałem, i to po zdecydowanie zbyt ostrym łuku), on podniósł się zza szerokiej lady, na której błyszczał kanciastymi wnętrzościami rozbebeszony automat. Podeszedł i wyciągnął dłoń. Ucisnąłem ją mimo rękawicy.

— Ojciec Lavone, jakże się cieszę, jednak ojciec dotarł. — Był bardzo młody, góra trzydzieści pięć lat; pewnemu, mocnemu uściskowi przeczył nieśmiały uśmiech na twarzy o oliwkowej cerze. — Jack, to znaczy ksiądz Mirton, czeka na ojca. Numer dwieście dwa.

— Bardzo mi miło, a właściwie...

— Honzl, Stefan Honzl.

Tak oto poznałem miejscowego potentata w branży hotelarskiej. Poszedł zabrać z gruisa bagaże. Mój pokój miał numer dwieście trzy. W ścianach windy umieszczono liczne uchwyty, przyspieszenie ciskało człowiekiem o sufit, nieostrożny nowicjusz wychodził z guzem wielkości orzecha.

Co się tyczy luksusów hotelowych, to ujrzawszy korytarz drugiego piętra, przestałem żywić jakiegokolwiek złudzenia względem charakteru Honzlowego przedsięwzięcia. Użył standardowego żywokrystu i z pewnością nie wykosztował się na żadne upiększenia wystroju; to już „Rozmaryn” więcej miał w sobie z hotelu. Gołe ściany, goła podłoga, zielonkawa luminescencja sufitu, drzwi krojone w identyczne prostokąty. Na Lizonne takie kwatery lokowałyby się poniżej gwarantowanego minimum socjalnego.



Zapukałem do dwieście dwójki.

Mirton rzeczywiście czekał na mnie. Wszedłem w jakąś rozległą wizualizację 3D, czym prędzej ją wyłączył, zdążyłem spostrzec tylko skomplikowaną symbolikę algorytmów ewolucyjnych. Mirton jest w wieku Honzla, na żywo wygląda jeszcze młodziej niż przez telefon. Okropnie nerwowy człowiek. W tym powitalnym wodosпадzie gorących słów pomieścił tyle afektowanych westchnień i zachnięć, że już zacząłem podejrzewać przeszarżowaną grę — ale to jest właśnie Mirton, Mirton par excellence.

— Ksiądz nie ma uprawnień do wydawania wiążących zaleceń co do miejsc kultu, prawda? Och, zastanawiałem się tylko... Tak, ja wiem, że to są cuda niepotwierdzone. Ale jeśli Kościół zdecydowałby się uruchomić swe zasoby... Niektóre z konsorcjów zaangażowanych tutaj z pewnością chętnie wzięłyby w tym udział, mogę skontaktować księdza, tak, przepraszam, mogę cię skontaktować z miejscowymi agentami, którzy w imieniu lizońskich decydentów czynili mi takie aluzje... Ależ nie, nie, nie, wręcz przeciwnie; już słałem prośby, znalazło się nawet kilku chętnych na zastępstwo, ale jakoś... Rozumiesz, to już czwarty rok, niemal prosto po seminarium, z kim ja tu mam do czynienia, no sam przyznasz, naprawdę czas już, żebym wrócił na Lizonne; jeśli byłbyś tak dobry... Według swojego uznania, rzecz jasna. Nerwy? Może faktycznie. Sam się przekonasz. Cóż mogę rzec? Jeszcze w oknach, gdy był szczyt pielgrzymek i miałem takie msze, że Katedra faktycznie pękała w szwach... Ale teraz. Choćby Madeleine nas nie złapała — zawsze to z rok aplevium, pustelnia, może nie? Wiem, wiem, narzekam. Może kawy?

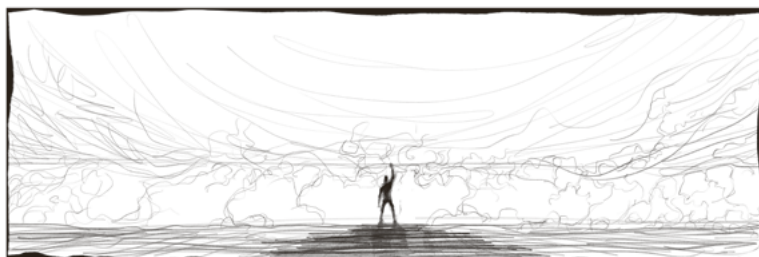
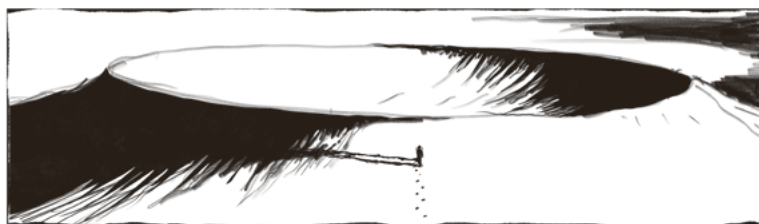
Poszedł po tę kawę (na końcu korytarza mieści się kuchenka termiczna). Honzl zajrzał przez wpółotwarte

drzwi, by pokazać, że dostarczył już bagaż. Pokiwałem głową, dziękując. Pokój Mirtona (bliźniaczy mojemu zresztą) zawalony był bibułowymi wydrukami, tylko od rzutników tele szły przez niskociężeniowy bałagan korytarze pustki. Bałagan ułamkowej grawitacji różni się bowiem od bałaganu $1g$, tak jak ciasto francuskie różni się od chleba. Prawdę mówiąc, siedziałem tam tak spięty głównie dlatego, iż w podświadomym przekonaniu pewien byłem, że wystarczy jeden mój nieostrożny ruch, by zawalić te asymetryczne rusztowania Mirtonowego chaosu. Obracałem się na krześle, zważając na położenie każdej kończyny. Za plecami, na ścianie, miałem szereg wielkich, czarno-białych zdjęć Katedry. Na jednym przez jej wysokie skrzela przestrzeliwały oślepiające promienie Lévie, wielka tarcza słońca wydobywała się z izmiraidowego Tartaru; nadłupywała ją kolejna asteroida, sądząc po kształcie — Podkowa. Na drugim zdjęciu Katedra pochylała się nad obiektywem wprost z gwiazdzistej otchłani, kształtu budowli domyślać się można było jedynie po mroku



między srebrnymi punktami. Trzecie znowu przepełniał niesfiltrowany blask. Mirton wrócił z kawą, zapytałem go o te zdjęcia. Zmieszał się, zaczął coś mówić o hobby. Że niby koresponduje z Ugerzo. Ten człowiek faktycznie sprawia wrażenie mocno zestresowanego.

Wieczorem (miejscowy czas jest standardowym czasem podróży Lizonne, nie musiałem się przestawiać) zabrał mnie do Katedry, do grobu Izmira. To miejsce istotnie ma w sobie coś... niesamowitego. Później opiszę.



Pierwsza noc na Rogu. Izmiraidy coraz bliżej Madeleine, żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego wciąż tylko rośnie (wysoka ergodyczność układu).

Hotel Honzla stoi pusty; całe to niby-miasto wygląda na opustoszałe. Żadnych luksusów, ta kopuła wyrosła na użytkowym żywokryście biosfer wojskowych, natężenie światła nie zmienia się niezależnie od pory biocyklu. Obudziłem się po drugiej w nocy, mleczne światło lało się z okien, biała skóra nabiera w nim lekko trupiego odcienia. Wstałem, szarpnąłem ramę (same głupie sprzęty, nawet z drzwiami nie pogadasz). Dno przykrytego krateru schodziło w dół aż do samego ronda z fontanną, miałem widok na wszystkie kręgi piekła ciszy. Bezruch i bezdźwięk. Obudzony w majaku wieloryba.

Nie mogłem jednak ponownie zasnąć i w końcu zdecydowałem się na „nocny” spacer. Wciągnąłem tylko szorty i sweter. Hol na dole był pusty, ani śladu po Honzlu. Wyszedłem na ulicę o sterylnej białej nawierzchni. Trzeba poćwiczyć chód. Zmierzając ku fontannie (słyszałem jej szum już w drugim kręgu) po tak rozciągniętej spirali, okrążyłem krater przynajmniej półtora raza. Mijałem zamknięte na cztery spusty sklepy z dewocjonaliami, zarosnięte blankującym żywokrystem centrum medyczne, skąpane w jaskrawej zieleni przeprogramowanych roślin wille mieszkalne dla naukowców, którzy w większości też już opuścili Izmiraidy (korporacje minimalizowały straty, wydając na paliwo najmniejsze możliwe sumy, a dawno już minęła pora ekonomicznych okien). Dwa razy się przewróciłem. Taka prawie nieważkość jest jednak bardzo męcząca, mięśnie drętwieją, we łbie się kręci.

W końcu przysiadłem na rzeźbionym obramowaniu fontanny. Pył wodny ochładzał spoconą skórę. Krew

szumiała w uszach i nie usłyszałem, jak podeszła. Dotknęła mego ramienia. Wzdrygnąłem się i ten dreszcz podniósł mnie na równe nogi.

Najpierw pomyślałem, że faktycznie jest w ciąży, bo nie miała na szyi wokalizatora ani tompaku na karku — ale zaraz spostrzegłem przypięty do ramienia głośnik i logo CFG Co. na obszernym T-shircie.

— Pierre Lavone? — spytał mózgowiec.

— Tak. Z kim mam przyjemność?

— Angii Telesfer *in utero* Magdaleny Kleinert. Może usiadziemy?

Przysiadłem zatem z powrotem na rzeźbieniu fontanny, Kleinert obok.

— Nie to, żeby wiele tu ważył — uśmiechnęła się Magdalena — ale woli, żebym nie naciągała mięśni.

— Tyranizuję cię, powiedz to — sarknął Telesfer. Kleinert machnęła dłonią.

— Oczekiwaliście mojego przylotu? — zapytałem.

— Tak — przyznał mózgowiec. — Oczywiście.

Przypomniałem sobie słowa Mirtona o aluzjach miejscowych przedstawicieli firm.

— Jeśli tak bardzo zależy wam na Izmiraidach — zauważyłem — znacznie łatwiej sami mogliście to zorganizować. Nie wiem, skąd bierze się to przekonanie o niezmiernych bogactwach Kościoła.

— Z tajemniczości jego przedstawicieli — zaśmiał się Telesfer. — Poza tym nie ma żadnych „nas”. Jestem po prostu jednym z najmitów CFG, nie zasiadam w zarządzie, nie mam prawa wypowiadać się w czymkolwiek imieniu, na pewno nie w imieniu innych inwestorów.

— Rozumiem. Struktury poziome. Lobby izmiraidowych naukowców knuje za plecami decydentów.



— Mniej więcej. Gdyby Kościół ogłosił, że podejmuje inicjatywę ratowania Izmiraidów, to co innego. Otworzyłaby się możliwość. Większość chyba w końcu przystąpiła. Ale sami z siebie... — prychnął — nigdy w życiu.

— Jest tu jakiś system kontroli wewnętrznej?

— Bez przesady, żaden spisek. Ja i tak właściwie nie śpiam; obudziłem pannę Magdalenę i poszliśmy popoglądać gwiazdy.

— Rozumiem. — Rozmawiając z niewidocznym mózgowcem, krążyłem spojrzeniem po jasnych elewacjach pobliskich budynków; teraz puściłem oko do Kleinert. — Długo pani nosi tego egoistę?

— Ech, będzie już cztery lata. Nie jest nawet taki zły..

Równocześnie Telesfer podniósł błazeński lament.

— No tak, teraz będzie przytaczać encykliki, litować się będzie z wysokości, dziecię pychy, rzeknie; teraz znowu...

— Cicho, cicho. Jak konkretnie brzmi wasza propozycja?

— Nie ma żadnej propozycji — uciął. — Możemy tylko księdza zachęcać. Bo oni tam czekają na księdza raport, prawda? Nie jesteśmy tak naiwni, żeby wierzyć, iż jedno księdza słowo przesunie planetoidy; ale na pewno na decyzji zaważy.

— Nie bardzo sobie wyobrażam sposoby tego zachęcania — mruknąłem. — Możecie mi przedstawić dowody cudów?

— Zatem księdza interesuje tylko domniemana świętość Izmira?

— Nie. Mnie interesuje wiele różnych rzeczy. Zagadka Hoana, na przykład. Ale jeśli chodzi o to, co interesuje czytelników mego raportu, to tak, ma pan rację: jest to świętość Izmira.

Mózgowiec milczał przez dłuższą chwilę. Magdalena sennymi ruchami ręki mąciła wodę w zbiorniku fontanny.

— Proszę mnie jutro odwiedzić — odezwał się wreszcie Telesfer. — W głównym laboratorium CFG. Komputer będzie uprzedzony. Po osiemnastej. Skoro istotnie interesują księdza różne rzeczy... Cóż, przyjemnych snów życzę.

Kleinert uścisnęła mi dłoń (palce mokre od zimnej wody), wstała, odwróciła się i dostojnym, powolnym krokiem odeszła ku jednej z rozbiegających się promieniście od placu ulic.

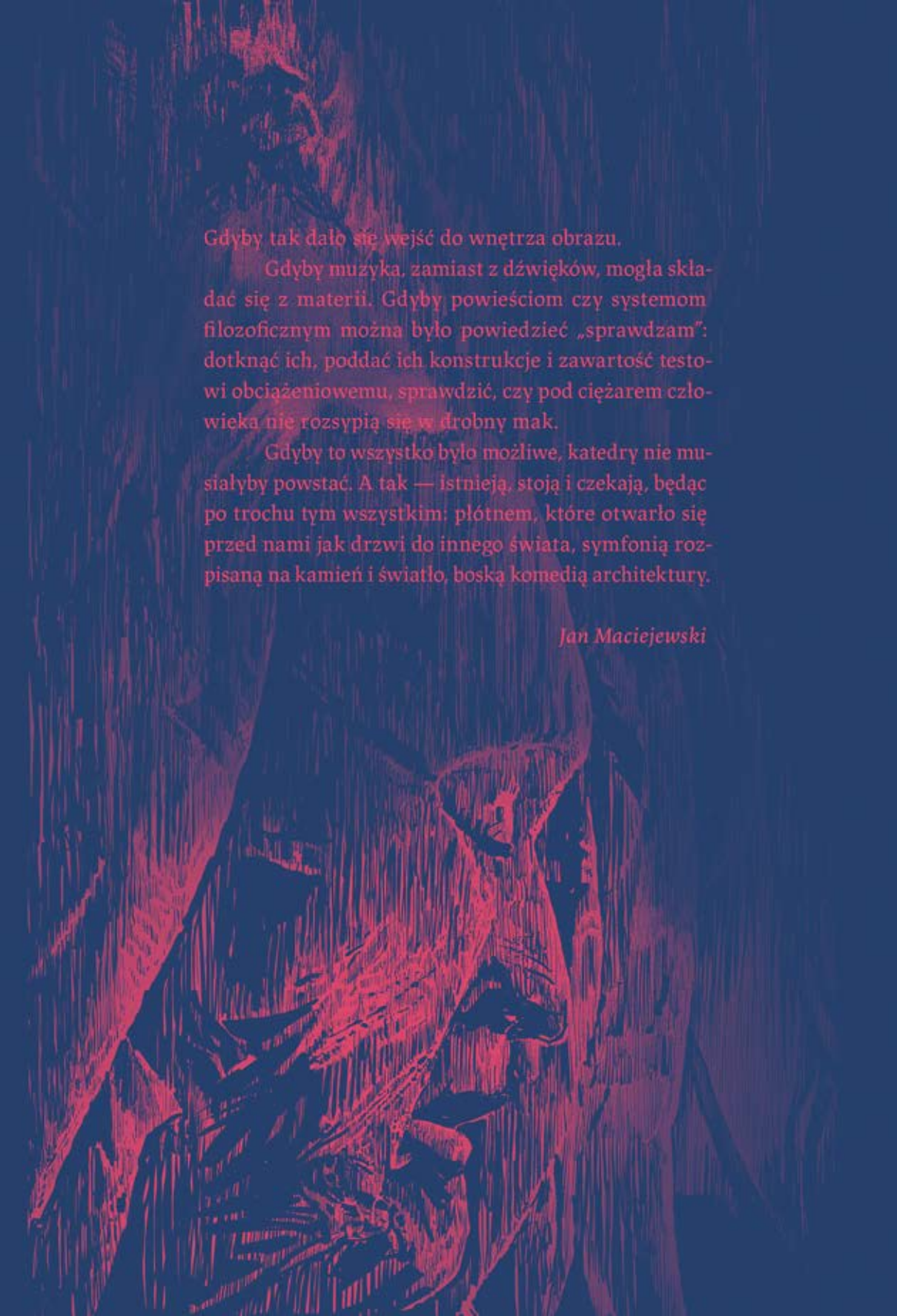
Wróciłem do hotelu i nagrałem relację z tej rozmowy.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki



Jacek Dukaj — wybitny prozaik, eseista, krytyk. Autor cenionych powieści, m.in. *Czarnych oceanów*, *Innych pieśni*, *Perfekcyjnej niedoskonałości*, *Lodu*, *Wronica*, *Starości aksolotla*, *Imperium chmur*, zbioru esejów *Po piśmie*, oraz licznych opowiadań, w tym zekranizowanej przez Tomka Bagińskiego *Katedry*, zgromadzonych m.in. w tomach *W kraju niewiernych* oraz *Król Bólu*.

Tomek Bagiński — nagradzany grafik, scenarzysta i reżyser, którego prace nominowane były do nagród Emmy, Visual Effects Society oraz Oscarów. Dwukrotny laureat nagrody BAFTA za filmy krótkometrażowe, a także producent kreatywny seriali *Wiedźmin* oraz *Kie-runek: noc* dla Netflixu. Reżyser filmu *Rycerze Zodiaku*. Współwłaściciel studia animacji Platige Image.



Gdyby tak dało się wejść do wnętrza obrazu.

Gdyby muzyka, zamiast z dźwięków, mogła składać się z materii. Gdyby powieściom czy systemom filozoficznym można było powiedzieć „sprawdzam”: dotknąć ich, poddać ich konstrukcje i zawartość testowi obciążeniowemu, sprawdzić, czy pod ciężarem człowieka nie rozsypią się w drobny mak.

Gdyby to wszystko było możliwe, katedry nie musiałyby powstać. A tak — istnieją, stoją i czekają, będąc po trochu tym wszystkim: płótnem, które otwarło się przed nami jak drzwi do innego świata, symfonią rozpisaną na kamień i światło, boską komedią architektury.

Jan Maciejewski

Nowe, ekskluzywne wydanie opowieści,
którą zachwylił się świat.

*Oto Katedra wyrosła z żywokrystu,
świątynia milczącego kosmosu.
Piękno nieludzka ręką stworzone.
Tajemnica nauki, religii i sztuki.
Wejdz. Przeżyj. Spróbuj wypowiedzieć.*

Wypadek zmusza holownik „Sagittarius” do schronienia się na jednej z planetoid w układzie gwiazdy Léwie. Zapasów tlenu nie starczy jednak dla wszystkich. Izmir Predú poświęca się, by reszta załogi holownika przeżyła. Do jego grobu na zimnej, pozbawionej atmosfery planetoidzie ciągną tłumy. Niektórzy pielgrzymi doznają cudownego uzdrowienia. Jeden z nich na grobie Izmira funduje Katedrę.

Katedry się nie buduje, lecz sadi. Katedra rośnie, dojrzewa, rozkwita. Co, kto wpływa na jej architekturę i na trajektorię planetoid? Wysłany na Izmiraidy ksiądz Pierre Lavone ma rozstrzygnąć kwestię cudów i świętości Izmira Predú, odkryć tę tajemnicę Izmiraid — zanim razem z Katedrą przepadną na wieczność w międzygwiazdnej pustce...

Wydanie dopełnione szkicami, projektami alternatywnymi oraz opracowanymi na potrzeby tej edycji kadrami Tomka Bagińskiego z jego nominowanej do nagrody Oscara adaptacji *Katedry*, wyprodukowanej przez Platige Image.

cena 99 zł

ISBN 978-83-08-08528-8



9 783308 085288



WYDAWNICTWO
LITERACKIE

dukaj.pl